



Zbigniew Szymaniak

część II z II

Sygnatura notacji: **N0013**

Data urodzenia: **17.07.1949 r.**

Data nagrania: **28.06.2007 r.**

Miejsce nagrania: **IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna Teresa Pietraszek**

Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 59 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Głos: Na przełomie 80. i 90. lat, już po doświadczeniach lat 80. odszedł pan od takiego, nazwijmy sobie to funkcjonowania w swoim świecie. Zaczął pan być aktywny. Dlaczego? Dlaczego tak się stało i w jaki sposób był pan aktywny?

Zbigniew Szymaniak: Może nie tak od razu byłem aktywny, bo w ogóle ten okres przełomowy, słynny 1989 rok, to w ogóle bardzo dziwnie się ze mną obszedł ten przełomowy moment. Mianowicie najpierw byłem chory i nie mogłem jako chory iść do głosowania tego głównego, w 1989 roku, a kiedy była druga tura wyborów, to ja pojechałem jako telewizja, z panem redaktorem i z operatorem, pojechaliśmy do Rumunii. Akurat w tym czasie. Tak że ani nie głosowałem tak, ani nie głosowałem tak. Rodzinie napisałem na kartce, jak mają głosować, teściowa. Zafatowałem z 11 głosów za Wałęsą i za wszystkim, ale ja byłem jedyny, który nie głosował, ponieważ na początku w jednym czasie byłem chory, a w innym wypadku byłem w Rumunii. Pół roku przed śmiercią Ceaușescu. Zresztą to, co najśmieszniejsze, było właśnie w Rumunii najciekawsze, to to, że tam w hotelu tym takim dla gości zagranicznych, super ekstra w marmurach, super cudownie było słyszeć Wolną Europę. Tam wszystko o Polsce wiedzieliśmy. Nie zakłócony niczym odbiór, a jednocześnie w telewizji rumuńskiej cały czas takie spotkania robotnicze z załogami, które były ubrane przeważnie w białe fartuchy, gdzie według jednego schematu leżała na przykład jakaś petycja, bo oni wtedy z Węgrami walczyli chyba o ten Siedmiogród, czy to jak się tam nazywało. Jakiś spór był, więc oni cały czas robili takie spotkania zakładowe, gdzie wszyscy stali i skandowali. Ta, ta, ta, ta, ta, ta, ta, ta, Ceaușescu, Ceaușescu, tra, ta, ta. No, normalnie parodia. Jakaś druga „Defilada” Fidyka. I tam zresztą takie zderzenie było niesamowite, bo u nas już wolność, już wiemy, że wygraliśmy wybory, już kompletna przemiana. Zresztą od dłuższego czasu to się w Polsce toczyło, a tutaj Rumunia. Jedziemy w towarzystwie jakiejś pani, którą nazywaliśmy żartobliwie „pani major”. Co ona mówi: „Ależ skąd, ależ

skąd". Obok siedział kierowca, który bardzo sympatyczny, ale myśmy do niego mówili „panie kapitanie”. On też się obruszał, tak żartobliwie mówi: „Ale skąd, ale skąd”. I tak nas wozili, kiedy mijaliśmy tabor cygański i kolega mówi: „- Zrobimy zdjęcia tym, tabor”. - Jaki tabor, jaki tabor? Zanim się obejrzelismy, był kilometry dalej. „- To u nas nie ma Cyganów. - A tam Cyganie jechali. - Nie, nie. Nie u nas nie ma Cyganów. U nas po prostu nie ma Cyganów”. Śmiesznie było. Daliśmy na końcu wszystkie konserwy, jakie mieliśmy, rybne. Prawie się popłakali z tego wszystkiego. I być może za naszą przyczyną, pół roku później zabili tego Ceaușescu, który jeszcze za naszych czasów, jak tam byliśmy, to zza chmur się wychylał, muzyka taka brzmiała, fletnia pana grała, chmury, góry, Karpaty i nagle z przenikania pojawiało się oblicze szanownego pana Ceaușescu, który nad tym wszystkim, prawda... Dosłownie komedia. W każdym razie wtedy jeszcze, mówię, nie byłem tak bardzo jakoś... Zresztą nigdy nie byłem jakoś tam wojowniczo nastawiony, ale w stanie wojennym pamiętam, jak przechodziłem koło wozów ZOMO-wskich, to miałem taki, z jednej strony taki żal, że nikt tam bomby nie podłoży pod ten wóz, że nikt się tak naprawdę nie buntuje. Taki czułem się... Sam nie byłem bohaterski, a czułem, że naród jakby zdradził, bo jak tak, wszyscy dziesięć milionów, wszystko w Solidarności, tak, tego, a tu tak łatwo stan wojenny wszedł. Ale potem troszeczkę zelżały we mnie te emocje, ale generalnie... Podsycone w pewnym momencie znowuż śmiercią Popiełuszki, ale to chyba już wszyscy w kraju wtedy widzieli te skandaliczne jakby postępowanie władzy, która tam usiłowała jeszcze grać rolę dobrych albo wujków, albo że tam tego, albo ratujemy Polskę, ale coraz więcej się wydawało. Więc 1989 rok to jeszcze nie był taki przełomowy, ale już 1990 rok, kiedy był rząd Mazowieckiego, Wałęsa został skazany na pożarcie. Wypuszczony jako taki człowiek, który ma gasić pożary, w tłum tam po fabrykach jeździł w Polsce północnej i odpowiadał na bardzo trudne pytania, bo tam Balcerowicz reformował, wszyscy coś robili drastycznego, a on musiał się z tego tłumaczyć. Jechał na przykład do jakiejś mleczarni niedaleko Gdańska i tam wszyscy na niego huzia na Józia, że właśnie wybory były w tej mleczarni i starzy się wybrali. To on tak jak po swojemu, w tych sprawach wtedy był genialny, znakomity. Mówi: „- A, proszę pana, kalosze pan ma? - No, mam. - To jakby pan ubrał te kalosze i poszedł od chałupy do chałupy, to byście w trzy dni wszystkich zawiadomili, że będą wybory, przyszlubycie i byście przegłosowali”. I tak im to tłumaczył. Tak jak się tłumaczy krowie na pastwisku po prostu, ale ci tam niewiele rozumieli, bo oni uważali, że... Do tej pory byli tacy ludzie właśnie mało aktywni, pasywni, więc to była sprawa, którą Wałęsa im uświadamiał. Aż pojawił się Kaczyński z boku i jakby dokonali takiego, można powiedzieć, zamachu na te poczynienia Mazowieckiego. Okazało się, że to wszystko idzie w złym kierunku, że to się nie da tak na dłuższą metę tłumaczyć wszystko i kryć tamtych. Pomysł grubej kreski, teoretycznie patrząc na przykład na Hiszpanię, można powiedzieć, że może miałby jakieś szanse powodzenia, ale gdyby nie to, że my nie jesteśmy Hiszpanami. No, nie wiem. Tam się lała krew, tam obie strony sobie dużo krzywdy zrobiły, ale koniec kropka, nie było dyskusji, wszystko zostało pущzone w niepamięć i dobrze na tym wyszli. U nas jednak to nie z nami. Nie da rady tak. Zresztą jak by to miało być, to jest chyba niesprawiedliwe samo z siebie, jeżeli ktoś zbiera profity i frukty pije z okresu, którego... Z okresu, który my nazywamy komuną, a potem nagle bez żadnego „ale”, bez mrugnięcia oka, nagle zostaje pierwszym sekretarzem, tylko trochę to inaczej nazwijmy, znowuż w kolejnej zmienionej Polsce. Tak że...

Anna Pietraszek: Zbysiu?

Zbigniew Szymaniak: No?

Anna Pietraszek: A jak przyjechałeś do Belwederu i do Wałęsy, który już był prezydentem, pamiętasz ten pierwszy moment?

Zbigniew Szymaniak: Znaczy pamiętam. Myśmy przyjechali razem z nim. Znaczy pierwszy moment to był taki, że pojechaliśmy, kiedy wygrał drugą turę wyborów, byliśmy z Krzysiem Kalukinem właśnie i z kolegą Heniem Motylem, taką ekipą, którą sobie zorganizował pan Terlecki. On był wtedy szefem w Gdańsku. Jako taką ekipą, którą on wystął specjalnie. Chciał pokazać, że on trzyma rękę na pulsie, szczerze mówiąc, że jest dyspozycyjnym jak trzeba, czyli po prostu, no, panie prezydencie, telewizja jest wasza, że jesteśmy z wami. Zresztą tutaj postępował, że tak powiem, logicznie. On nie był zakłamanym człowiekiem, walczył, siedział i tak dalej. Po prostu to była konsekwencja jego drogi życiowej. W każdym razie, kiedy tam te słynne swoje „Zdrowie wasze w gardła nasze” pan prezydent wygłosił, to chwilę potem, po powrocie ze zdjęć, dostałem zawiadomienie, że mamy natychmiast jechać szybciućko, po jakichś zdjęciach całodziennych, żeby zdążyć na Jasną Górę, bo na Jasnej Górze pan prezydent, ale tym razem już górą, samolotem przyleci, żeby podziękować Matce Boskiej za swój wybór, więc takie to były różne dziwne przygody i potem właśnie następne polecenie: „Słuchajcie, pojedźcie na tę jedną noc, na ten główny dzień koronacji pana prezydenta”. Marian planował potem zorganizowanie ekipy warszawskiej, ale to się okazało niemożliwe, nie takie proste. Poza tym telewizja, no, też z telewizją było tak, że pamiętam, że w sejmie, kiedy pan prezydent został zaprzysiężony, potem były takie główne gratulacje w gabinecie prezydenckim, w sejmowym, gdzie byliśmy, i gdzie był właśnie Marian Terlecki, to pan prezydent mówi: „Dobrze, to ty będziesz tam szefem rady komitetu, a gdzie jest ten taki tam?” Markiewicz bodajże się nazywał. „- A gdzie ten? - A tam, pod drzwiami. - To nie zapomnij o nim”, coś tam, coś tam, coś tam. Tak to się odbywało wtedy. Było takie poczucie, że to teraz jakichś przemian dokonamy wspólnie. Potem widać było przeszkody, bo telewizja była wielkim molochem, była... W zasadzie były różne pomysły. Były takie pomysły, żeby dokonać lockoutu, rozebrać to wszystko na kawałki, rozwalić zupełnie i założyć na nowo, ale to też było tak praktycznie niemożliwe, bo tego nikt nie ogarniał. To przecież też jakiś... Teraz jeszcze jest moloch, a wtedy to było nie do ogarnięcia. To nawet oni sami się chyba w telewizji nie orientowali. Tam zostawali ludzie tylko dlatego, że wiedzieli, którądy kabel idzie chyba, że wiedzieli, którądy kto, z kim i jak, dlaczego, bo tak naprawdę, to nie było uzasadnienia, żeby w takiej formie telewizja istniała. Wtedy było... I tak się to wszystko tworzyło. Pamiętam, weszliśmy do gabinetu Wałęsy. Tam od razu zażądał, żeby była kaplica, zaraz kazał powiesić krzyż. To towarzystwo wokoło tak biegło, tam był ksiądz Cybula, Mietek Wachowski, Andrzej... Andrzej, Andrzej, Andrzej... No, nieważne. Może sobie przypomnę później. W każdym razie... Andrzej Rybicki. On był tam wtedy takim jakby prezydenckim sekretarzem. Oczywiście Lech... Jarosław Kaczyński jako szef kancelarii prezydenta i ten pierwszy okres był taki szalenie jakiś, no... Podniecenie panowało wielkie, bo Wałęsa chciał się godzić. Od razu tworzył, kazał do siebie prosić różnych ludzi i przychodzili do niego ci, którzy byli jego przeciwnikami. Przyszedł Mazowiecki, on pochwalił Mazowieckiego, powiedział, że on tak musiał powiedzieć, że on taki wolny, ale on znakomity, wieczny patriota. Ten tam stał z boku i „mmm”, coś tam pomruczał, że tak, że owszem. Michnika pamiętam, który wpadł w sweterku, taki roztrzęsiony, że go takiego nie widziałem. Był wystraszony straszliwie, ale kiedy wszedł do środka, spotkał się z Wałęsą, tego nie byłem świadkiem, o czym tam rozmawiali, to wyskoczył jak wróbelek. Radosny, wesóły, widocznie dostał rozgrzeszenie od Wałęsy, jak to zwykle, bo Wałęsa miał do niego jakiś sentyment, więc mu tam wszystko darował. I Michnik był bardzo wesolutki wtedy. Ale odwdzieczył się potem Wałęsie bardzo nieładnie na koniec prezydentury wałęsowskiej, kiedy przyszedł do niego z wywiadem, specjalnie zresztą przez Andrzeja tam Zakrzewskiego zorganizowanym dla Gazety Wyborczej, w którym sprowokował Wałęsę do odpowiedzi na pytanie: A co by zrobił, gdyby trzeba było użyć siły wobec ludu, na przykład. Gdyby to była taka potrzeba i taka racja stanu. To Wałęsa,

racja stanu, święto słowo. Jak racja stanu to racja stanu. Potem spisał to wszystko, co nagrał na magnetofonie, mnie zresztą przedtem wyprosił, nie pozwolił filmować, bo powiedział, że dopóki ja tu jestem, to nie będzie wchodził. „Nagrasz sobie potem jeszcze nie raz”, powiedział. Taki był cwany. Z jakąś wielką butelką wszedł, od razu: „Leszku...”, a potem taki numer. Taki dość charakterystyczny. Potem to paskudniejszy numer Rywinowi wywinął tylko, ale Wałęsie większe konsekwencje. Tak potrafił zaszkodzić. W każdym razie ten okres pierwszy był taki budujący. Widać było, że Wałęsa się z tą unią godzi, jakby to wtedy nie była unia chyba, tylko ROAD. Kiedy przyszedł Kozłowski, ten, który był tam tym szefem spraw wewnętrznych bodajże i ten, który tam udostępnił paru osobom bez chyba prawa nawet te dokumenty, które teraz są w Instytucie Pamięci Narodowej, dotarli tam, parę osób dotarło, przejrzało je tam sobie, jakby upewniło się, co jest, czego nie ma, co może mieć bardzo poważne konsekwencje do dzisiaj, do tego, co oni tam wiedzą, co mają albo czego tam nie ma, na przykład. W każdym razie... I wtedy, to po nowym roku było, nastąpiła przemiana. Ci, którzy już szli na ugodę z Wałęsą i chcieli z nim jakoś tak funkcjonować po przyjaźni, po nowemu, kiedy Wałęsa zaczął mówić, że jaką radę prezydencką by stworzył, to od razu się zakrzyknęło, że on tutaj tworzy jakieś biuro polityczne czy coś takiego. Od razu ośmieszano wszystko, co się dało, a w końcu przyszli i powiedzieli do Wałęsy, że nie, oni będą opozycją. Oni nie będą z nim, oni będą opozycją. Może nawet i w pewnym sensie dobrze, a może i źle, bo to patrząc na to, kto byłby tam wtedy wiodącą siłą, prawda? Nie wiem zresztą, czy Jarosław Kaczyński by się wtedy na to zgodził, czy już wtedy by się nie obrócił na pięcie i poszedł sobie. Może tak, może nie. Nie wiemy tego. Właśnie tak to wszystko wyglądało. I wtedy zaczęło się też, czuło się atmosferę szukania premiera, prawda? Ale z premierem to było tak, że tam mówiło się o tym, że premierem ma być Olszewski, ale Olszewski się gdzieś zawieruszył. I tak, nie pamiętam, czy to Mietek Wachowski, czy też Andrzej Chocimski mówił: „Wiecie, tak jest dziwnie, że Wałęsa dostaje ciągle skądś sygnały, że gdzieś jest Olszewski. Dodzwonić się do niego nie może, a dowiaduje się, że ten już kompletuje skład rady ministrów”. Więc to Wałęsie jakby tak zawrzało w nim, bo sądził, że tak jak to w jego stylu jest, że on tak siądzie wspólnie, tu tego, jak będzie sukces, to on był z ojcem sukcesu, jak nie, to tam może kto inny tam sprawcą nieszczęścia, ale każdy chciał w tym po prostu uczestniczyć. A tymczasem Olszewski sobie gdzieś tam brykał na boku. W związku z tym Wałęsa się zdenerwował, kazał wyszukać Bieleckiego i Bielecki ma być premierem. Tylko śmieszne było, bo Bielecki to taki człowiek trochę podobny do Tuska. W sensie to byli tacy kumple jakby z podwórka. Tacy ludzie mądrzy, ale tacy w zachowaniu takim codziennym, to nie z salonu, tylko tak jakby sobie na piłkę nożną chodzili i między sobą tak po prostu, takim językiem podwórkowym aż, o dziwo, takim studenckim się odzywali. Więc niech żeby w ogóle Bielecki mógł wystąpić, to jeździliśmy do urzędu rady ministrów, żeby robić nagrania próbne jego, żeby sam się posłyszał, zobaczył, jakie błędy robi, jak się powinien zachowywać i jakich nawyków językowych pozbyć, czy jakichś takich zachowań, które dopiero wychodziły w momencie, kiedy to można było zobaczyć na ekranie i kiedy taki człowiek musi wyjść do ludzi, stanąć na mównicy i przemawiać. Zresztą to tak jakiś czas było słyhać, na przykład w języku i w przemówieniach Bieleckiego, że on mówi takim językiem, takim troszeczkę, nie chcę powiedzieć, nawet nie znam określenia tego.

Głos: Szorstkim.

Zbigniew Szymaniak: No, szorstkim, ale takim troszeczkę... Takim jak to chłopcy, tacy z podwórka sobie gdzieś w bramie rozmawiają.

Głos: Znaczy ubogim.

Zbigniew Szymaniak: Może i ubogim. W każdym razie tak było. Ale z drugiej strony to owocowało dużą popularnością jego wśród młodego lektoratu. Tak w pewnym okresie właśnie ta jego liberalna tam, nie wiem, jak to się nazywało wtedy, partia...

Głos: Kongres Liberalny.

Zbigniew Szymaniak: Kongres Liberalny miał duże poparcie wśród studentów i tak dalej, ponieważ oni ich kupili. Kupili jako takich swojaków, którzy niewiele co od nich odstają i językiem, i zachowaniem, i jakimś podejściem nowoczesnym. Tam jak najmniej się mówiło o jakimś rozliczeniu czy o czymś, tylko o jakichś sprawach takich nowoczesnych. Potem to zaprzepaścili, bo zaczęli się... Zresztą to chyba za sprawą Tuska, o ile pamiętam, nagle interesować sprawami kościelnymi. To znaczy jakoś tak liberalne poglądy wygłaszać takie dosyć drastyczne, typu tam, nie pamiętam zresztą. Ale takie w każdym razie, można powiedzieć, antyklerykalne. To nagle wtedy zaczęli zjeżdżać. Ale to już może mniej ważne. W każdym razie tak te początki wyglądały Wałęsy. Zresztą pierwsza wizyta u papieża, potem byliśmy w Stanach, Izrael też, więc to były takie bardzo znaczące momenty tych początków prezydentury Wałęsy.

Głos: To przejdźmy do otoczenia prezydenta w tamtym okresie. Jak wyglądał podział zadań oraz czy można mówić o jakichś określonych wpływach, czy też zadaniach, które te wpływy w pewien sposób uwidaczniały?

Zbigniew Szymaniak: Na początku... Ja zawsze byłem taki troszeczkę patrzący naiwnie na życie. To znaczy taki byłem może zbyt taki, nie wiem, jak to nazwać, ale po prostu ja nie wietrzyłem jakiegoś podstępku, jakiegoś spisku, jakichś różnych tam tego. Uważałem, że jak ktoś mówi tak, to to prawdopodobnie tak myśli. Wiedziałem, że ludzie tam robią kariery, że coś kombinują, ale tutaj zakładałem, że... Mietek na przykład na wstępie powiedział, przy wódeczce, pierwszego dnia tam wieczorem, kiedy powiedział: „Wiesz, tak się podobało to wszystko. W ogóle przejdźmy na ty, to i tamto, ale was bardzo proszę, wiecie, takie miejsce w szyku, żeby było, jeżeli będziemy, spotkacie mnie u prezydenta, czy gdzieś przy ludziach, to panie...” nie wiem, wtedy ministrem nie był, ale jakoś tam inaczej. „A jeżeli tak prywatnie, to jestem Mietek”, to jestem to, to jestem tamto. I tak niby to tak sympatycznie zabrzmiało i tak było, że on tak, miał taką rolę kumpla prywatnie, ale tak to wypadło zawsze przyjść, „Panie ministrze”, „Panie sekretarzu”, panie to, panie tamto. On zresztą mówił: „Ja też do Wałęsy mówię tak za drzwiami «Lechu», a tak normalnie to «panie prezydencie» przecież” i w ogóle. W każdym razie Andrzej Drzycimski zajmował się najtrudniejszą rzeczą, to znaczy on musiał zawsze przetłumaczyć to, co Wałęsa powiedział, na polski. Na to, co tam do ludzi docierało. To znaczy Wałęsa nie miał może nic złego na myśli, ale tak albo zakręcił coś, albo tak jakoś powiedział tak, a nawet przeciw. I wtedy on musiał wytłumaczyć tak naprawdę, co to miało znaczyć, że nie to miał na myśli, tamto to nie tak, a powiedział tak, ale w zasadzie to nie tak, bo to tak po wałęsowemu brzmi tak, ale tak naprawdę to jest to tam. I taka była rola Andrzeja Dziecimskiego. Zresztą on miał ten problem, że jemu... On w ogóle nie był za komunikatywny. W sensie tam on może napisać potrafił coś i tak dalej, ale tak jemu było bardzo ciężko mówić. Pod tym względem naprawdę to nie bardzo mu to wychodziło. Wynajął wtedy takiego człowieka do pomocy u siebie, w biurze prasowym był Janusz Pichlak, ale Janusz Pichlak, to z kolei taki był aktywny bardzo, biegał, latał, wizytówki sobie narobił i tak

latał, i załatwiał cały czas, że w pewnym momencie Andrzej mówi: „Wiesz, na mieście mówią, że on chodzi i rozpowiada, że on jest takim rzecznikiem prezydenckim, takim od telewizji”. I to była podstawa do tego, że wkrótce po tym przestał być tym rzecznikiem, ale taki okres był. W każdym razie... I tak, jak chciałem, żeby mi coś pomógł na planie, bo ja byłem sam, miałem statyw ciężki, miałem to wszystko, to on mówił: „To jest twoja sprawa, ja jestem tutaj, to ty sobie tu jakoś poradź” i w ogóle. Tak że to było takie troszeczkę mało sympatyczne. Ale kiedy był okres właśnie tej całej przemiany i odsuwania od władzy, od premierostwa, pana Olszewskiego, to wiem, że nie pierwszy zresztą raz, Janusz zaginął jakby. To znaczy wziął jakieś wolne, urlop czy coś i w tym najważniejszym momencie jakby go nie było. W międzyczasie otrzymywałem, tam, siedząc w naszym pokoju, parokrotnie telefony z sekretariatu gabinetu pana Glapińskiego, który był tam w PC i był tam gdzieś w kancelarii prezydenta też umocowany przez, no... I był omurowany? przez pana Kaczyńskiego. W każdym razie z pytaniem o Pichlaka. Ponieważ wiedziałem, że oni razem gdzieś studiowali, byli z jednego roku, to zakładałem, że jakaś sprawa ważna. Potem się okazało, że to było po już odwołaniu, po tej akcji całej odwołania Olszewskiego, że Pichlak przyszedł i chodzi, i mówi: „ - Wiesz co, dostałem zwolnienie, ale pokaż mi te taśmy, które są nagrane przez ciebie z tej nocy teczek”. Więc dałem mu, usiadł sobie, zaczął je przeglądać, oglądać, porządkować i właśnie wtedy prawdopodobnie sobie to wszystko przegrał na VHS-ie. Bo potem, kiedy Jacek Kurski zmontował film noc długich teczek, czy jak to się tam nazywało, to w tyłówce były napisy, że: „Dziękujemy Instytutowi Polskiemu pana Glapińskiego za udostępnienie materiałów w VHS-ie”. Czyli tych moich materiałów, które zresztą wcześniej wykorzystał też pan Engler w swoim filmie, ale już z pety, normalnie. Tylko, że kontekst był inny i w związku z tym w naszym filmie to wszystko grało bardzo ładnie, a w tamtym filmie Jacka było takie pełne drapieżności i takiego mroku straszego, że tutaj właśnie rozgrywa się jakaś straszna rzecz. Ostatnio zresztą takie skojarzenie miałem śmieszne, bo kiedy była mowa o tych taśmach pani Begerowej, która nagrywała tam tajnie, że to samo, powyrównywano te sprawy. Nie da się tego porównać, ponieważ w tamtym czasie to było nagranie oficjalne. Ja tam byłem oficjalnie, mogłem wejść, stałem z kamerą. Wszyscy uczestnicy tej rozmowy mnie widzieli. Jedyne, co mnie zaskoczyło, to to, że nikt mnie nie wypraszał za drzwi. Nikt nie chciał, żebym wychodził. Ja chodziłem naokoło. Gdybym wiedział, że nie będę wywalony, że będę mógł tam być cały czas, rozegrałbym to inaczej. Podszedłbym bliżej, zrobiłbym to na długich ujęciach bardziej. A ja cały czas tak robiłem jakby za chwilę ktoś miał mnie wyrzucić, więc tutaj z tego kąta, z tego kąta, z tamtego kąta, żeby jak najwięcej mieć różnych tych, a tymczasem chodziło o to, żeby oni widzieli, że to się nagrywa, żeby ich trochę postraszyć. Tam były różne osoby, był Niesiołowski, który teraz jest wielkim przeciwnikiem panów Kaczyńskich, to wtedy był wielkim zwolennikiem tej Trybuny. Przecież to on tam bez przerwy nawoływał do... On i bodajże Rokita, tak z dwóch stron wychodzili co chwila i żądali albo przerwy, albo coś tam, albo łapali jakieś proceduralne sprawy, żeby to przeciągnąć. Te dwie osoby tak najbardziej się udzielały. Tak że tak wyglądała ta cała sytuacja i wtedy skądinąd wiem, że w ten sposób te taśmy dostały się właśnie, można powiedzieć w niepowołane ręce, dlatego, że one były własnością biura prasowego i nie miały prawa w jakikolwiek inny sposób się wydostać, czyli zostały wyprowadzone. Ja zresztą miałem taką śmieszna sytuację, że kiedy to już się wydostało na zewnątrz i pokazało w tych filmach, to Wałęsa, idąc korytarzem, tak popatrzył na mnie, a muszę powiedzieć, że przez dwa-trzy lata, to on mnie tak średnio dostrzegał. Byłem jego pracownikiem, w związku z tym tak jak mi koledzy, którzy wcześniej pracowali z nim, mówili, że pracownik to jest pracownik, więc raczej częściej jak przyjeżdżali różni operatorzy, którzy jeszcze za czasów, w 80. latach, będąc reprezentantami Interpressu i współpracujący z jakimiś zagranicznymi ekipami, których można zresztą na różne sposoby podejrzewać, że przynajmniej ich firma była taką ekspozyturą tego. To oni byli kumple, bo przychodzili, a on mówi: „A, cześć Tomek”, cześć ten, cześć

tamten, „Chodź tutaj, cześć”, „Witam serdecznie”. A nas tak nie witał serdecznie, bo my graliśmy swoją rolę, ale pod koniec już zagadał do mnie ludzkim głosem, coś tam zażartował, o coś się zapytał, jak był już w takiej trochę biedzie. W każdym razie wtedy tak zaczepił mnie na korytarzu i mówi: „Nie żyjesz”. Ja mówię: „Za co, panie prezydencie? Za co ja mam nie żyć?”. A on mówi: „- Ile za to wzięłeś? - Za co? - Za te taśmy”. Ja mówię: „Nic nie wzięłem, panie prezydencie. Głupi jestem, nic nie wzięłem. Przecież jeszcze głupszy bym był, gdybym coś wziął, bo przecież, no co, to by się wydawało”. Tak popatrzył i mówi: „Dobrze, ale dowiedz się, jak to się stało”. Potem się nie pytał, jak to się stało, ale ja właśnie takie śledztwo przeprowadziłem prywatnie i takie mam wytłumaczenie tego, że jak to się znalazło w rękach właśnie Jacka i w jaki sposób zostało potem wykorzystane.

Anna Pietraszek: A Kaczyńscy... Lech Kaczyński był w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego przez pierwszy moment, kiedy KOR przeistaczał się w BBN, Czy miałeś jakiś kontakt, pamiętasz, jaki był?

Zbigniew Szymaniak: Specjalnie tak ich nie znałem, ale Lech Kaczyński mieszkał parę pokoi dalej ode mnie, na drugim piętrze w hotelu na Klonowej. Tylko ja mieszkalem w takim jednoosobowym pokoiku z łazienką, pokój 212 zresztą. Zawsze nabijam się, że przyjechałem tam na jedną noc, a byłem tam prawie pięć lat. Tam półtora roku byłem w tym miejscu, gdzie teraz pan Kwaśniewski i tam jest afera cała o te ich biuro tanio wynajęte. Dokładnie tam, gdzie ja z kolei mieszkalem ostatnie półtora roku. W każdym razie na tym samym piętrze, co ja, w hotelu na Klonowej, mieszkał Lech Kaczyński. Wtedy tak to bardzo spokojny człowiek był. Wychodził z żoną i pieskiem. Wychodzili tam zawsze gdzieś sobie, mijaliśmy się, tak może się kłanialiśmy sobie na pewno, ale tak generalnie to był bardzo spokojny człowiek. Miałem takie wrażenie nawet, że jest trochę inny od brata. Nawet tak się trochę lepiej kojarzył, ale Jarek, no, Jarek to siedział w kancelarii i czasem przychodził do Belwederu. Najśmieszniejsze było to, że ta klamka była na wysokości jego oczu, więc to było takie zabawne, kiedy się go filmowało, on tak podnosił rękę i tak robił tutaj na wysokości, i tak wchodził. Ale to przecież nie jest jakaś tam... To jest taka przypadłość, to są geny, a nie czyjaś wina tego. Tak że o nim nie mogę nic... Aha, może mogę tylko powiedzieć tyle, że on tak właśnie był taki dosyć pryncypialny, bo na przykład w hotelu na samym początku, to oczywiście tam myśmy, jak wszyscy tacy nowo nawróceni nuworysze, tacy rozradowani biegaliśmy po tym hotelu, kolacje tam były i obiady tanie. To jeszcze było po okresie, najpierw Jaruzelskiego, a potem tego. Nawet wstawki były do pokoju, jakieś piwko, jakieś coś, można było, ja patrzę, koledzy z butelkami wina takimi idą gdzieś na górę. Pytam się: „A, to można sobie tutaj wziąć. To jest tak wpisane wszystko w koszty”, więc takie wino tam, jakieś Sofia czy coś. Ja, ponieważ tam wino mi trochę szkodziło na żołądek, więc z tego nie korzystałem. W każdym razie bardzo szybko to Jarosław ukrócił. To znaczy nagle nie można było brać tego wina. Potem się pogorszyło do tego stopnia, że wszystko było tak drogo w tym hotelu, że ja już musiałem jeść tylko hamburgery w budce spod Placu Unii Lubelskiej. Stąd teraz moja taka wspaniała sylwetka. Jeżeli dwa hamburgery dziennie tak przez parę lat zjadło się, to nie ma sposobu. I tak dobrze, że nie wyglądam jak przeciętny Amerykanin.

Anna Pietraszek: Byliście z Wałęsą w Moskwie.

Zbigniew Szymaniak: Och, byliśmy, owszem. Byliśmy z panem Wałęsą w Moskwie. To była też taka wyprawa. W tym czasie właśnie pan Olszewski był premierem. W ogóle tak się dziwnie ze wszystkim działo, że kiedy on przychodził do Wałęsy z tymi swoimi krzaczastymi brwiami, czy to na śniadanie, czy na jakieś inne spotkanie. Na śniadanie to raczej... Znaczy na śniadanie przychodził, ale na mszę nie mógł zdążyć. Zaproszony był zawsze na mszę, ale on na mszę nie bardzo potrafił zdążyć, bo były dwie szkoły. Jedna mówiła, że on jest taki troszeczkę

nie do końca praktykujący, a druga taka, że on też... A dodatkowo do tego dochodziło, że nie lubi rano wstawać. Powody podawano różne, że tam lubi sobie, no, nie wiem, co lubi. Ale w każdym razie, że... Zresztą to samo mówiono o Mazowieckim, nie? W każdym razie przychodził, coś ustalał. Taki był troszeczkę jak takie duże dziecko. Trochę takie zwaliste, klasowe. Przyszedł, tam coś pomruczał, porozmawiał, potem się żegnał, „Panie prezydencie”, wychodził, i robił dokładnie odwrotnie to, co uzgodnił. Zawsze było zdziwienie. Boże, przecież on co innego mówił. A on szedł, zanim do URM-u doszedł piechotą, to spotkał kogoś innego. Ten inny mu powiedział coś innego i jego opinia była raczej przeważnie tą końcową opinią tej ostatniej osoby, którą spotkał przed zamknięciem drzwi swojego gabinetu. Tak że to było coś, co u Olszewskiego tak bardzo drażniło. I tak było wielokrotnie. Wyjeżdżaliśmy gdzieś za granicę i nagle się okazywało, że na przykład jest, że nagle jest odwołany szef radiokomitetu, Zaorski, zostaje nim Robaszewski bodajże. Potem z kolei innym razem, że nie ma ministra obrony narodowej, tylko jest Jan Parys, na przykład. Bo to chyba było w tym okresie, kiedy byliśmy w Moskwie. Coś takiego. Ja nie pamiętam dokładnie, kiedy, ale tak było właśnie, że zawsze gdzieś jak Wałęsa był daleko, to Olszewski dokonywał jakiejś zmiany. I kiedy pojechaliśmy z kolei do tej nieszczęsnej Moskwy, to też coś innego uzgodniono, a potem nagle dostajemy jakąś wiadomość, że on czegoś tam, Wałęsa ma nie podpisywać, bo tam sobie Olszewski to i tamto. Wtedy był taki poważniejszy zgrzyt, bo Wałęsa dopiął swego. Zresztą nie zapomnę, jak było w wypadku tych materiałów katyńskich i wizyty Jelcyna u nas. To była też śmieszna sprawa. Wałęsa miał taki... Wałęsa zawsze chciał coś załatwić i chciał się czymś tam jakby popisać. Różnie można o nim mówić, ale on naprawdę miał taką szczerą wolę, żeby coś zrobić. Zresztą on się bardzo wzruszał i parokrotnie Wałęsę widziałem ze łzami w oczach. Między innymi właśnie, kiedy materiały katyńskie dostał, to normalnie mało się nie poryczał zupełnie, tak był wzruszony. Ale Jelcyn przyjechał i tam też miał swoich takich hamulcowych, którzy hamowali go przed takimi zapędami, bo Jelcyn też chyba był taki troszkę, że jak sobie wypił, to tak zamaszycie wszystko chciał załatwić. Tak naprawdę gdyby ich tam dwóch zamknąć na wódce, to by wszystko załatwili w dwa dni i byłby spokój. Oczywiście Wałęsa by się nie upił, bo nie pił, ale Jelcyn by się upił, wszystko by podpisał. W każdym razie pojechaliśmy do Otwocka, żeby wtedy tam coś załatwili, jakieś rozmowy były i Wałęsa wymusił jakby na Jelcynie to, żeby jednak te materiały, żeby tam coś podpisał. Katyńskie sprawy. Pojechaliśmy potem do Otwocka na obiad i pamiętam, że na początku kamery, ten przyjeżdża, wchodzi tam, wchodzi na salę i potem poproszono mnie na górę tam do BOR-u, tak zwanego stolika trzeciego, czyli na trzecie piętro, taki boczny dla osób towarzyszących. I tam jemy sobie. Kamerę gdzieś odłożyłem i nagle ktoś wbiega, mówi: „- Zbyszek, na dół, na dół, na dół. - Co? - Przerwa jest w tym wszystkim”. A my czekaliśmy na toasty. „Ne będzie żadnych toastów, bo Jelcyn już tego”. Nie ma toastów, wyłożone na stole, rosyjska ekipa pojechała, bo tylko oni zostali i ja. To ja tam ten kontynuuję obiad, „Ale chodź na dół, chodź na dół. Jest przerwa. Coś tam Jelcyn ogląda jakieś zdjęcia z Wałęsą na boku”. Oni zrobili przerwę, żeby tego trochę Jelcyna podreanimować chyba i przez moment tam, chwając się, troszeczkę w kącie siedział z Wałęsą, oglądał jakieś zdjęcia, potem nagle wstał i go tam gdzieś wyprowadzili. Chyba, żeby go tam jakoś tam, nie wiem, podreperować. Przy tym stole takim w Otwocku długim, cudo było. No, cudo było, bo siedział przy długim, pustym stole siedziała Raisa. Nie, Raisa nie. Tylko jak się nazywała, ta Jelcynowa. A po drugiej stronie ksiądz Cybula, tak pochylony i tak nad tym stołem ze sobą rozmawiali. Wyglądało to teatralnie. Potem mówią, że oni już wracają, to ja wychodzę. Ale wyszedłem, patrzę sobie, ale tak romantycznie to wygląda. Oni już oczywiście w koszulach tam, bodajże, nie wiem, kto tam był wtedy ministrem obrony Związku Radzieckiego, znaczy Rosji. Wtedy chyba Graczow czy coś takiego. I oni tam siedzą, Wałęsa tego. Wałęsa tam się trzymał dobrze, on zresztą tak przeważnie się trzymał dobrze, ale ten już tam, wszyscy mieli w czubie, więc ja tak obszedłem ten i patrzę przez okno, jak

to fajnie wygląda. Tutaj taki mrok, tam coś tego, przez firaneczki zaczynam myk, myk, przez firanki, tu kielonek, tam coś tego, oni w tych koszulach. Zrobiłem te zdjęcia i poszedłem na górę. Potem ktoś wpada, mówi: „- Zbyszek! - Co? - Kryj się. - Co? - A nic, ta ichna ochrona szuka operatora, który tam przez okno robił. Pytali, kto to taki. My mówimy, że nasz człowiek, taki z UB”. Nie mogłem wyjść na pożegnanie, żeby mnie nikt nie wykrył. Schowałem się gdzieś z tymi taśmami, potem to weszło do filmu i to jedne z lepszych, takich fajniejszych zdjęć, bo takie nieoficjalne, takie trochę z boku, ale efekt był taki, że tam była panika duża, bo sfilnowałem ich takich rozchętanych i takich, no, nie mieli kontroli, nie wiedzieli, co się dzieje.

Anna Pietraszek: A jaki był pierwszy kościół oddany katolicki w Moskwie?

Zbigniew Szymaniak: Wiesz, jeżeli dobrze kojarzę, pojechaliśmy do jakiegoś kościoła, który był takim kościołem, jak to za komuny tej sowieckiej tam u nich, przerobionym na jakiś magazyn czy coś. I coś tam.... To już tak dokładnie jak przez mgłę pamiętam, że to było takie tragiczne widowisko. Taki właśnie, to jeszcze niewykończony kościół. To było przerażające. Ale tutaj nie mogę nic powiedzieć. To mnie trochę zaskoczyłaś, bo wiem, że jakiś kościół żeśmy odwiedzali, ale to... Wiesz, jak się odwiedza kościoły z pompą, jak się jest w kościołach odnowionych, wspaniałych i tak dalej, to tam tak jakbym odwiedzał jakiś magazyn i jakbym bardziej pamiętał, że była mowa że tam będzie kościół niż, że jest kościół, prawda? Więc może to było coś takiego. Bo z takimi rzeczami też żeśmy się stykali. Bardzo mi się podobały Wałęsy rozmowy... Znaczący podobały się, nie podobały, z Polonią, bo on okazywał się czasami taki dosyć... Bardzo mądrze do ludzi mówił czasami, chociaż dość skomplikowanie. Mianowicie, jak to z Polonią na wschodzie rozmawiać, kiedy ona jest taka pokrzywdzona, że ci ludzie gdzieś tam, tu nagle Polska, łyż w oczach, przyjeżdża prezydent i co im powiedzieć? Wałęsa zawsze im mówił o tym swoim słynnym wyrównywaniu poziomów, że on jest za tym. Zawsze im mówił, że tu nie ma już żadnej mowy o zmianie, że tu nie będzie tak, że tu będzie Polska, ale to będzie tak, że będą otwarte granice. I to, czy człowiek mieszka tu, czy tam, to nie będzie miało znaczenia, bo on sobie tu pojedzie, tam pojedzie, tu zamieszka, tam posiedzi, tutaj sobie odwiedzi. Jakby takie dosyć prymitywistyczne to wszystko, ujęcie tego wszystkiego, ale takie prawdziwe. Takie słuszne. Bo w zasadzie co, wojnę wytoczmy Związkowi Radzieckiemu czy Ukrainie? No, nie. Jedyne, co można jednej i drugiej stronie powiedzieć, żeby te granice otworzyć, a nie otworzy się ich dopóty, dopóki będzie różnica, jak to Walesa mówił, poziomów, czyli jakiś handel, jakieś takie absurdalne różnice. A wtedy będzie można się nawzajem odwiedzać, będzie można przyjeżdżać, doglądać, będzie można sobie kupić chatę. Nie wiem, tam w swojej starej wiosce i mieszkać. No, też podobno problemy są między Polską a Niemcami. Przyjeżdżają ludzie, którzy przyjeżdżają gdzieś tutaj na nasze zachodnie ziemie. Jeżeli ktoś tam siedział od stu lat, to jak mu powiedzieć, że to też nie jest jego ojczyzna? Tak że to jest dość skomplikowane. Nie wiem, jak tam Unia będzie funkcjonować w przyszłości. Raczej wolałbym, żeby to była unia państw, bo tak zostałem wychowany, ale generalnie też dobrze byłoby, gdyby była taka swoboda, że ktoś naprawdę, jak już musi, jak już kocha, to czemu nie może sobie kupić domu i mieszkać tutaj. Albo kupić pięciu domów i mieszkać trochę tu, trochę tam, jak go stać. Tylko, że tak... Chyba, że Niemców stać, a nas nie stać. I odwrotnie gdzieś tam. Chociaż niedługo Rosjan będzie stać bardziej niż nas.

Anna Pietraszek: A jaki był Wałęsa w stosunku do wojska? Jeszcze miał przecież Ludowe Wojsko Polskie i dopiero były plany wejścia do NATO. Jakie miał relacje z wojskiem?

Zbigniew Szymaniak: Wałęsa do wojska... Trudno powiedzieć, ponieważ on był człowiekiem, który jednak znaj-

dował się pod wpływem... Ja kiedyś ukułem taki termin, że każdy ma swojego komunistę, swojego generała. Bo zawsze Wałęsie zarzucano, że ma jakichś generałów postkomunistycznych. Ale przecież następcy mieli następnych, innych generałów postkomunistycznych. Dopiero teraz zaczyna się czas, kiedy można praktycznie mieć nową generację wykształconych ludzi. Można powiedzieć też tak, że dobrze wyszkolony w Moskwie generał, to jest dobry generał. Tylko nie wiadomo, w którą stronę będzie grał. Ale będzie to dobry generał. Bo Wałęsa też, rozpoczynając swoją prezydenturę, nie robił jakiejś czystki, nie mówił: „A, pan - obecnie generał - Gil - doktor, który leczył Jaruzelskiego i Urbana - to be i won za drzwi”, bo on ich leczył. Nie. On doszedł do wniosku, skądinąd słusznie, że lekarza to na pewno musieli mieć dobrego, bo przecież byliby głupi. To nie chodzi o ideologię, tylko o dobrego lekarza. Więc wziął tego samego. Tak że tutaj bardzo mądrze postąpił. A do generałów tych takich, to trudno powiedzieć, bo to na pewno ktoś mu tam coś podszeptował, doradzał, mówił, rozmawiał. Tam w tym wszystkim bardzo tak aktywny i ruchliwy był Mietek Wachowski, bo on jakby tam z tymi służbami, z tymi wszystkimi ludźmi dobrze żył. Zresztą oni tam przychodzili do niego. Najpierw tam na jakieś tam te, potem szli do Wałęsy. Wałęsa był od takiej... Znaczący Wachowski był od takiej tej mokrej roboty troszeczkę. Troszeczkę robił to, co Wałęsie było wygodnie. Na przykład kogoś nie przyjmując, to musiał przez Mietka, Mietek powiedział, że nie można, Mietek pił z tymi generałami przecież, a Wałęsa nie pił. Wałęsa nie pił. Pamiętam, kiedyś w Wilanowie był też taki obiad i wracałem samochodem akurat z Dziecimskim i z kolegą... I z kolegą. Z księdzem Cybulą. A też tam w czasie obiadu było tak, że obiad był tak w trakcie. Toast. Tam polecałem z tym toastem. Okazało się, że toast będzie odwołany. Kolejny jakiś tam raz. I co się okazało, wracając w samochodzie? Oni rozmawiali między sobą i okazało się, że: „Słuchaj, wiecie co, Cybula to chyba już drugi raz toasty, na początek toasty trzeba będzie”. Później wódki nie podawali. Bo jakiś gość tam się upił czy ktoś tam tego. Wałęsa nie pił alkoholu, a ktoś miał słabą głowę i to jest ryzykowna sprawa. Postanowiono już tam więcej, toasty na początek, koniec kropka. Potem tego. Tak że...

Ja byłem od tego, żeby jakby nagrywać jego, jakby dokumentować jego działalność. To taka trochę głupiego robota, bo w sumie ja w tym okresie pracy u niego, jakby nabywałem doświadczeń operatorskich dużych. Byłem rzucony na głęboką wodę, musiałem mnóstwo rzeczy robić takich, do których musiałem dojść sam. W każdym razie tak działałem energicznie, jak mogłem, ale sam. Sam sobie z dźwiękiem musiałem poradzić, często bez statywu, jak coś mogłem, to ze statywem, jakieś światło, coś poustawiać. Wywiad, rozmowa. I teraz tak: Siedzi Wałęsa i udziela wywiadu. Ja to rejestruję. Wiem, jak trzeba z punktu widzenia telewizji to zrobić. Znaczący nagrać rozmowy, kontrplan, ogólny plan, jakieś przebitki, żeby to się dało montować. Ale on siedzi na przykład i zaczyna się obsuwać w tym słynnym fotelu. Obsuwa się, obsuwa, marynareczka się robi taka, tutaj wystaje spod tej marynareczki koniuszka krawatu. Trzeba coraz ciaśniej kadrować, robi się to takie bez sensu. Make-upu oczywiście ani widu, ani słychu. W związku z tym to się robi takie trochę już nieemisyjne. I teraz nagle kończy się wywiad, Wałęsa zadowolony z siebie wstaje i mówi: „Dajcie to do telewizji” i idzie. To teraz Andrzej do mnie: „Zbyszek, daj to do telewizji”. I jadę do tej telewizji, oni patrzą na mnie, mówią, że mi współczują, bo napiłem się z nimi trochę wódki i już wytłumaczyłem, na czym to polega, więc mi naprawdę współczuli. I czasem z litości coś wzięli. I kawałek jakiś, gdzieś minutę, dwie, trzy, ale więcej się nie dało. A on tam mówił 20 czy 30 minut bez przebitki, bez niczego. Absurd zupełny. I tak się zdarzało. Czy na przykład radio robi tam... „Pytanie na śniadanie”, to teraz tak się nazywa, ale wtedy to było chyba „Śniadanie z piątką” czy z trójką, czy coś takiego. I teraz przychodzi godzina, gdzieś tam u góry w Belwederze ustawia się radio, swój tam jakiś stolczyk, mikrofony i Wałęsa ma tam przyjść. Jeszcze jest przed mszą. Wałęsa przychodzi. Ustawiony z kamerką jestem i on jest taki cały ranny. Twarz taka jeszcze spocona, tutaj jakaś tego. W ogóle nieprzytomny, może

takie ciśnieniowe sprawy dochodzą w grę. To znaczy przy takiej cukrzyicy czy przy czymś, bywa, że on na pewno miał jakieś tam sprawy sercowe. Zresztą były sytuacje, że on tak jakby omdlewał i siedzimy na mszy, na przykład i słyszymy nagle: dźwięki imitujące aparat ciśnieniowy. Co się stało? A Wałęsa podłączony do aparatu, tu się modli, a tu mu pompuje się automatycznie pomiar ciśnienia. Taki aparat nowoczesny zainstalowali. I w czasie mszy panie trzy razy tam napompowało się, zmieniło ciśnienie i w ten sposób było wiadomo, co się tam z nim dzieje. Ale teraz przychodzi na taki wywiad radiowy i siedzi. Ja tak się schylam i mówię: „Panie prezydencie, może by tutaj jakimś puderkiem?”. On mówi: „Weź te ręce włochate, co to?”, mówi. „A co ty, ja jakiś lowelas jestem, że ja tu będę z tymi? Przecież to tylko dokumentacja. A potem daj to telewizji”, na przykład. Więc jakby takie niezrozumienie. Kwaśniewski, to podejrzewam, że był tak ustawiony, że on tam wiedział, w którą stronę się obrócić, jak zrobić. Wałęsa był taki niesterowalny. Naprawdę z nim jest ciężko. Do tej pory jest ciężko. Jedziemy do niego, do Instytutu tam nagrać setkę i na przykład wiadomo, że nie można wyłączyć radia, które gra cały czas, bo on wtedy się obraża. Mówi: „Co? Rób swoje, rób swoje. To ja nawet radia nie umiem wyłączyć? Zostawcie coś dla mnie”. Poszedł, wyłączy radio, stanie z powrotem i tak dalej. Chcesz go przesunąć, przestawiasz się ze statywem, żeby tam coś mu z głowy nie wyrastało. „To powiedz, to ja się mogę przesunąć”. Tak że jak nie ma humoru, to tam lepiej do niego nie podchodzić. Tak że jest bardzo uciążliwy w takich kontaktach medialnych, ale też potrafi być bardzo taki fajny. Naprawdę w kontaktach z dziećmi cudowny. Potrafi dzieciom wytłumaczyć to, czego dorosłym nie potrafił wytłumaczyć przez to, że tłumaczy zbyt skomplikowanie, to dzieciakom cudownie. Tak że to taka dziwna postać, bo świetny w ripostach, świetny w ripostach. Kiedyś z CNN-u przyjeżdża gość, w ogrodzie belwederskim siada, taki CNN-owiec, taki prawdziwy. Taki, który tam jest takim specjalnym reportażystą, którego czarterowym samolotem przewożą przez Atlantyk, żeby tylko Wałęsę wywiad zrobił do większego programu. I usiadł, tak stoliczek, nakryj się, tutaj tego i zaczyna rozmawiać, i tak jedno pytanie, drugie pytanie, trzecie pytanie, Wałęsa po siódmym tak wzywa, mówi: „Ale wszystkie takie jakieś kościelne pytania, nie?” Wałęsa tak mówi: „Przepraszam, ale to siódme pytanie pan na temat kościoła zadaje – mówi - I dowiedział się pan coś?” A ten mówi: „No, właśnie nie”. A on mówi: „No i pan się nie dowie. Jakie ma pan wykształcenie?”. A ten Harvard, coś tam, tego. A on mówi: „Nie, ale takie kościelne jakie ma pan?”. A ten mówi: „Nie, no, ja jestem tam agnastykiem”. A Wałęsa mówi: „Panie, do biskupa pan pójdzie. On się na tym zna. On panu wszystko powie, jak pan chce”. I nie dowiedział się. „Panie, to do biskupa pan pójdzie”. Do biskupa. Kiedyś do Belwederu przyjeżdża człowiek, taki papowiec jakby, tylko, że fiński. Kiedyś się tam coś spodobało Andrzejowi, że ładnie tam gdzieś pytanie zadał z tłumem na konferencji, więc go zaprosił i dał mu „Exclusive”. I ten przychodzi, widzę, że Wałęsa przychodzi w takim nie najlepszym humorze. Myślę sobie: „No, będzie draka chyba. Chyba, że facet jakoś tak mądrze zacznie”. Ale facet zaczął zupełnie niemądrze. Usiadł i mówi: „- Panie prezydencie. - Dobra, dobra. Szybko, szybko. - Panie prezydencie, chciałbym zapytać... - Ja wiem, że pan chce pytać, ale niech pan pyta. - Panie prezydencie, o polskim antysemityzmie”. Jezus, jaka gula wyskoczyła Wałęsie. Zaraz mówi: „- Jaki antysemityzm? W Polsce nie ma antysemityzmu. Następne pytanie, proszę. - Ale panie prezydencie, ja jechałem pociągiem. - Panie - i tam opowiadali dowcipy - to pan przyjeżdża do polskiego prezydenta, żeby mi opowiadać, że pan pociągiem jechał, że jakieś dowcipy pan wysłuchiwał? Panie pan jesteś niepoważny”. Wstał i wyszedł. I mówi, tylko na odchodnym mówi: „Więcej go tu nie chcę widzieć”. I poszedł. I nie było nic. Zero. Taki był Wałęsa i taki potrafi być czasami. Tak że bywało naprawdę wspaniale.

Anna Pietraszek: Czy zauważyłeś, czy było dużo ubeków koło niego? Dużo prowokacji?

Zbigniew Szymaniak: Wiesz, to nikt nie nosił na sobie takiej wywieszki „ubecja”. W każdym razie wiem, że było nawet tak, jakaś koleżanka została, że tak powiem, szczyzczona z pracy przez Mietka. Coś tam naraziła się Mietkowi. I to na samym początku prezydentury. I tak żegnając się z nami w tym hotelu na Klonowej, chciała nas prawdopodobnie jakoś tam też zsolidaryzować z sobą, więc mówi, że ją tam niby sprawdzał, że tamto, owamto. Mówi: „Wiesz, ale...”. I tak coś nadawała na Mietka, ale tak, żeby każdy z nas odebrał to, że on do nas też jest nie w porządku. I mówi: „On tak was wszystkich posprawdzał. I mówił, że wy też jesteście ubekami”. Tak że to takie gadanie oczywiście. Wiesz, o sobie przynajmniej to wiedziałem, że nie, ale czy tam byli? Możliwe. Możliwe. To możliwe, ale wiesz, czy można na przykład ubekiem nazwać pana Falandysza, który sam oficjalnie przyznał, że siedem czy sześć razy podpisał współpracę, bo po pijaku i do czego to alkoholizm prowadzi? I tam nic złego prawdopodobnie, a przynajmniej w tym okresie już takim Wałęsowym, nie zrobił, i tak dalej, za co go bardzo szanowałem. Bo po prostu był człowiekiem takim, który po prostu nie krył tego. Mówił, że do czego to prowadzi alkohol, że człowiek podpisuje, potem się z tego wycofuje, że potem znowu go złapią na czymś i znowu coś podpisze. Tak że takich prawdziwych ubeków... ja nie wietrzyłem tego. Na pewno mogło tak być. Zresztą, no, co, pozostałość po Jaruzelskim, prawie nikt nie został, w Belwederze. Było tak na początku, że jak wyświęcono kaplicę, to do kaplicy tłum walnął. Cały Belweder. Łącznie z tymi wszystkimi pozostałościami, które były po Jaruzelskim. Bo oni wiedzieli, jest nowy car, to trzeba iść i wystąpić. Jest teraz taka potrzeba, żeby chodzić do kaplicy, to się chodzi do kaplicy. Ale minęły trzy tygodnie i nagle w kaplicy były trzy sprzątaczkę, Cybula, ja, ktoś tam jeszcze, ponieważ oni się bardzo szybko przekonali, że jak któryś z jakichś powodów nie mógł tam wpaść, to nikt do niego o to pretensji nie ma. Nagle do tych mózgów dotarło, że można czegoś nie robić tak koniecznie, bo władza każe. Może teraz u Giertycha trzeba, ale tutaj nie. Tak było. Tak że nie. Naprawdę takie przemiany się widziało w ludziach. Znaczą przemiany, jakieś tam przemiany były też inne, takie negatywne. Ktoś tam był takim ideowcem, ale 15 razy zaproszony do jakiejś tam entej ambasady na raut i tak stukając się tymi kielichami, już w coraz lepszym towarzystwie i wieziony coraz lepszymi samochodami, musi takiemu człowiekowi odbić i on musi się czuć już lepszy, a przynajmniej już nie chce tego tracić. Więc to jest choroba chyba taka tych wszystkich polityków tam, co do Warszawy trafiają. A im bardziej z zapadłej dziury, jakiejś wsi, to tym gorzej, bo przecież do czego tam mają wracać. Ktoś, kto jest tam w ogóle w życiu ustawiony i trafi mu się przygoda z parlamentem czy z czymś, to tam tragedii nie ma. Najwyżej kamień z serca i pojedzie robić co innego. Chyba, że jest tym człowiekiem, który po prostu nie potrzebuje pieniędzy, tak jak się mówi, że idą tam, żeby się nachapać, tylko potrzebuje władzy. Bo to jest jeszcze sprawa nie tylko... Sprawa władzy. Że chęć... Nagle człowiek posiada władzę. Wszyscy koło niego chodzą, dają mu coś, wożą, załatwiają. Tak jak Wałęsę na przykład Mietek potrafił obejść się z rodziną. Zawsze zadbał o to, żeby dzieci miały gdzie wczasy, gdzie urlop, gdzie szkołę odpowiednią, że Jarek do Stanów pojechał i się wykształcił w dobrej szkole. To wszystko Mietek, bo po prostu on o tym pamiętał. Wałęsa nie miał na to czasu.

Anna Pietraszek: A jak powtórne wybory zostały przegrane, jak żeście się rozstali?

Zbigniew Szymaniak: Trochę... Znaczą w porządku, tylko, że to było w ogóle dziwne, bo przed wyborami powtórными przyszedł Oleksy z Kwaśniewskim, a jeszcze nie było wiadomo, czy Kwaśniewski będzie kandydował. Do Belwederu, do Mietka Wachowskiego. Znaczą Oleksy przyprowadził Kwaśniewskiego. O czymś tam rozmawiali. Oczywiście Mietek sobie wypił, Oleksy też tam, słyhać było trochę tego, a Kwaśniewski się pilnował i jakoś nie bardzo pił. Ja pod tymi drzwiami siedziałem, aż wyjdą, aż wyjdą, aż wyjdą. O czym tam rozmawiali, nie wiem, ale wiem, że to była taka dziwna rozmowa. Wkrótce potem Kwaśniewski postanowił kandydować, co strasznie zdenerwowało

Wałęsę. Moja prywatna ocena jest taka: Jestem przekonany, bo wtedy też było tak, że też z Mietkiem rozmawiałem i kiedyś mówię: „Wiesz co, a jakby tak Wałęsie dali dwa lata więcej?”. Bo tam była mowa, że we Francji jest siedem lat kadencji. Jedna kadencja. To jakby tak chcieli, to... Bo Wałęsa, tak była niewiara w to, że wygra. Więc żeby chociaż mu dać troszeczkę jeszcze do porządzenia i faktycznie potem Ciosek z Moskwy nagle nadał tekst, że może by dać Wałęsie dwa lata więcej. Raczej ustalić w nowej Konstytucji, a tą Konstytucją zajmował się Kwaśniewski. Efekt był taki, że... I Kwaśniewski kandydował. Bardzo zdenerwował Wałęsę, więc być może tam były takie sprawy, że to było tak przez Mietka kombinowane i załatwione. Tego słowa Kwaśniewski jakby nie dotrzymał. Stąd taka wściekłość Wałęsy. Nie za to, że przegrał tylko, tylko za to, że ten nagle postanowił kandydować, że nagle... No, taka sprawa.